№ 41. Warszawa, dnia 11-go Października 1908-go roku. Rok XLIV

BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80; półrocznie rub. 3 kop 60; rocznie rubli 7 kop. 20.
Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50.
Cena numeru pojedyńczego kop. 20.

Wychodzi pod kierunkiem literackim
Zofii Seidlerowej.
Ekspedycya główna: ulica Nowy-Świat, 41.
Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszczu" po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie złr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cent- 50.
W Krakowie u D. E. Friedleina; kwartalnie złr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cent. 50.
W W. Kś. Poznańskiem dla abonentów „Dziennika Poznańskiego." w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk.; z przesyłką pocztową 4,30 mk.

Do Czytelniczek.

Z dniem 1-ym października roku bieżącego nić, łącząca mnie z „BLUSZCZEM", zadzierzgnęła się jeszcze silniej.

Z kierowniczki literackiej staję się współwłaścicielką pisma i odpowiedzialną jego redaktorką.

Wiem i czuję głęboko, jaką odpowiedzialność, jakie obowiązki na siebie biorę, jakie wkłada na mnie chwila obecna, uczynię też wszystko, co będzie w mej mocy, aby godnie odpowiedzieć położonemu we mnie zaufaniu, aby uznanie i życzliwość, jakie „BLUSZCZ" sobie zaskarbił jaknajmocniej utrwalić.

Pragnę obznajmiać Czytelniczki moje jaknajszerzej z ogólnym ruchem społecznym, ze wszystkiem, co kulturę umysłu i serca podnosi, pragnę pomagać do szerzenia oświaty i zachęcać do pracy dla dobra powszechnego.

Jasne dążenie po drodze Prawdy i Postępu, z wytkniętym celem: pożytku Ojczyzny — oto hasła naszego pisma.

Dawne wspomnienia i długoletnia praca w „BLUSZCZU", wytworzyły we mnie głębokie przywiązanie do wydawnictwa, któremu pragnę poświęcić mą pracę tak długo, jak długo sił do niej starczy.

Pracy mojej, w „BLUSZCZU" rozpoczętej, przyświecają: tradycya ś. p. Maryi Ilnickiej, pod której kierunkiem stawiałam pierwsze kroki na polu piśmiennictwa, i redaktorska działalność M. Gawalewicza, który objąwszy pismo w najcięższych warunkach, bo dogorywające, podniósł je do wysokiej literackiej wartości.

Przez kilka dziesiątków lat „BLUSZCZ" zgromadzał zawsze dobrane grono współpracowników, pomiędzy którymi znajdowali się najcelniejsi autorowie i autorki doby współczesnej.

Tak jest i tak będzie nadal.

Starannie prowadzony, obficie zaopatrzony w ryciny mód, dodatek praktyczny z działem robót ręcznych, artystycznie podniesionym i uwzględniającym motywy swojskie, będzie tak samo, jak dotychczas stanowił odrębną całość, nie łączącą się niczem z obszerną i poważną treścią pisma.

Rozszerzając w miarę potrzeby liczne działy „BLUSZCZU", wypełniać je będziemy artykułami o treści *społecznej*, *wychowawczej*, *literackiej*, *krytycznej*, *naukowej*, *sprawozdawczej*, na pierwszy plan wysuwając sprawy, które każdą oświeconą kobietę polską obchodzić powinny.

Dla nas, kobiet, powołanych dziś na widownię działalności publicznej i to na tak rozlicznych polach pracy, wykształcenie umysłowe jest wprost obowiązkiem względem siebie i sprawy ogólnej. Upominać się o swoje prawa, i one bronić, możemy tylko wtedy, gdy je dobrze zrozumiemy.

Z tego względu mam wiarę głęboką, iż, „BLUSZCZ", jako pismo, poświęcone sprawom kobiecym i obywatelskim, zdobywać będzie coraz więcej miejsca w domach polskich.

Czynami należy stwierdzać wyznanie swojej wiary i umiłowanie celów do których dążymy; niechaj zatem „BLUSZCZ", sam za siebie przemawia.

Zofja Seidlerowa.

Eugenia Żmijewska.

PŁOMYK.

CZĘŚĆ TRZECIA.

TOM DRUGI.

XXII.

Główna nawa dużego kościoła pusta. Krótki dzień zimowy już na schyłku. Gdzieniegdzie płomyki gazowe znaczą się żółtemi plamami.

Co chwila ktoś wchodzi „na pacierz", przyklęka lub siada w pustej ławce i zamiast oderwać myśl od codziennych kłopotów — wnosi je tutaj ze sobą, o zażegnanie ich wzywa instancyę wyższą. Według pojęć ludzkich, istnieje ona tylko po to, aby u chronić człowieka od konsekwencyj jego własnych czynów złych lub głupich, bo człowiek z modlitwy uczynił skargę żebraczą, nie chcąc zrozumieć, że on sam jest zwykłym sprawcą tych trosk i nieszczęść, na które apeluje w świątyniach.

Trybunały do wnoszenia skarg na siebie samych jeszcze puste — rozpoczęła się zaledwie spowiedź wielkanocna. Jeden tylko ksiądz siedzi w konfesyonale — przy kratce klęczy postać kobieca, smukła a skulona. W przegięciu głowy, w nachyleniu ramion i pleców, w spuszczeniu ręki, zwisającej na futrze, znać zgnębienie. Długi jest widocznie jej win różaniec. Inni już odeszli, kościół opustoszał, a ona jeszcze klęczy i słucha i na spuszczoną głowę i barki przyjmuje brzemię odpowiedzialności za swe czyny.

Ciche pukanie o kratkę. Skulona postać wstaje, słaniając się, dochodzi do ławki, ukrywa twarz w dłoniach i tak siedzi długo. — Nie słyszy ostrego brzęku kluczy.

— Zamykamy kościół — oznajmia, stając tuż przy niej zakrystyan.

Ocknęła się, spojrzała na niego oczyma, zaćmionemi od wpatrywania się w głąb duszy.

— Przepraszam pana — szepce pokornie i cichym krokiem opuszcza świątynię.

Szła tutaj ze smutkiem, lecz z nadzieją, że stąd wychodzić będzie silniejsza, że tu jedynie znaleźć może obronę przed niebezpieczeństwy, osaczającemi wszystkie drogi i ścieżki, któremi jej wątłe stopy zmierzają ku bezkresowi istnienia.

Sądziła dotychczas: że zmaga się z losem. Teraz widzi, że to, co ją spotykało i spotyka – nie jest krzywdą, lecz wypadkiem jej czynów.

... Obiecała poprawę — i chciała dotrzymać słowa. Czy zdoła? Przedewszystkiem zapomnieć *o tem*. Nie myśleć...

To najtrudniejsze ze wszystkich zobowiązań, przy kratce zawartych.

Rzucała przez nią w ucho spowiednika swe myśli złe, trujące.

— Do tego już doszło — szeptała — że idąc ulicą, każdą spotkaną kobietę pytam w duszy: czy ona *już* doznała *tego*, co ja zaznać pragnę, czy ona ma życie *pełne*.

— W czem widzisz *pełnię*? — badał ksiądz.

— W spełnieniu przeznaczeń kobiety.

— Co przeznaczeniem kobiety nazywasz?

— Zostać żoną. I dlaczego ja, ja właśnie mieć tego nie mogę? Dlaczego ten, którego kochałam, ożenił się z inną? Czy to jest sprawiedliwość Boska?

— Mów, jak było, mów wszystko.

W słowach, przerywanych łkaniami, opowiedziała smutne dzieje swej pierwszej miłości.

Gdy wreszcie umilkła, z po za kratki głos się odezwał i rzekł:

— On kochał cię więcej, niż ty jego.

— Nie! nie!

— Tak. I więcej cię szanował, niż ty siebie samą. On się ciebie uląkł.

— Ja wiem, jestem bardzo zła.

— Ty jesteś dotychczas — żadna. Nie kochałaś go prawdziwie.

— Kochałam szalenie.

— Otóż to właśnie. Dla ciebie miłość, to szał, to żądza upojeń.

— A czemże jest?

— Zapomnieniem o sobie.

— W katechizmie.

— Nie, w życiu. Mało, mało miłości na świecie, nietylko między chrześcijanami w ogólności, ale i między kobietą i mężczyzną. Jest bawienie się w miłość. I ty się chcesz bawić, a gdy los nie daje ci tego cacka, narzekasz. Rozpaliłaś sobie głowę marzeniem, zamknęłaś oczy na wszelką rzeczywistość i wmawiasz w siebie, żeś nieszczęśliwa. Chcesz ciągle święta. A szczęście, to nie kwiat zamorski, to nasz polny chaber, wyrastający na niwie, która daje chleb powszedni. Szczęście nie przychodzi do nas samo — trzeba je umieć szukać i znaleźć. Tyś nie potrafiła.

— Gdyby on się był ze mną ożenił...

— I wtedy nie byłabyś szczęśliwą. Żądałabyś ciągle słów tkliwych, pieszczot, a mężczyzn to nudzi. I ta *pełnia* szczęścia, którą w wyobraźni swej oblekłaś w jakieś nieistniejące uroki, i ta cię nie zadowolni.

Przez mą lornetkę.

(FELJETON TYGODNIOWY).

Po pogrzebie Deotymy...
Uderzmy się w piersi...
Brak słońca a cienie krytycyzmu...
Eldorado dla gościa z nad Gangesu...
Ustępującemu dyr. Filharmonii...
Warszawa — Kraków—
Wiedeń..

Wracaliśmy, mój przyjaciel i ja, z pogrzebu Deotymy. Byłem szczerze wzruszony wielką manifestacyą nadgrobną, jaką Warszawa uczciła po raz ostatni jedną z najchwalebniejszych swych cór. Było to jakby wspaniałe finale tych wszystkich hymnów, które wyśpiewano w ciągu lat pięćdziesięciu kilku u stóp tej fenomenalnej jako zjawisko „wieszczki-improwizatorki"...

Naraz milczenie przerwał mój przyjaciel, niestety, nałogowy sceptyk...

— Przychodzi mi właśnie na myśl karyera poetycka Wincentego Pola. Kiedyś cała Polska u nóg jego leżała, na jego „Mohorcie" czy „Pacholęciu hetmańskiem" matki uczyły dzieci swoje czytać, a dziś...

— Nie rozumiem aluzyi... Czy to ma jaki związek ze sławą Deotymy?...

— Sam sobie to dośpiewaj... Lecz wprzód odpowiedz szczerze, czyś przeczytał 6000 wierszy „Sobieskiego pod Wiedniem"?... tego wielkiego rapsodu naszego narodowego, w 17 pieśniach?...

— Całości co prawda nie czytałem, ale znam cudowne, pełne grozy wojennej i rozmachu epicznego wyjątki, pomieszczane od tylu lat w różnych tygodnikach, numerach noworocznych, przygodnych filantropijnych wydawnictwach...

— Ot właśnie... wyjątki... entuzyazm na kredyt i to kredyt starszych... pacierz do nieznanego osobiście bóstwa za panią matką... Każdy istotnie wydawca uważał sobie za honor imponować czytelnikowi klejnotem, dobywanym nieraz z niedopokonania trudnościami z cennej szlifierni poetyckiej zgasłej już poetki... Wielka i czcigodna nieboszczka broniła się często jak mogła. Swego „Piasta" liczącego 12.000 wierszy i 6000 wierszy „Sobieskiego", nad którym pracowała od 1857 roku, więc lat 50 z okładem, sama zamknęła w wielkiej ozdobnej szafie, jakby uważając ją za święte i nietykalne mauzoleum swej twórczości. Skarby te poznawali naprawdę tylko jej najbliżsi, którym je na swoich „czwartkach" uproszona czytywała. Lecz gdy zostawała sama, chwytała za pióro i zapisywała samokrytycznie i szczerze w swym pamiętniku: „Że je napisałam, to nic nie szkodzi, były one dla mnie twardą i owocną szkołą. Szkoda tylko, że je wydrukowałam"...

— Lecz jej improwizacye?...

— W nich właśnie tkwi tragedya. One to zżerały wielki wspaniały talent poetycki zmarłej. Ściągano z całej Polski, by usłyszeć, jak to śliczne, natchnione dziewczę „gada wierszami". To „gadanie" wysuszało wielką i poważną twórczość. Kto dziś zna lub lubuje się „Gnozą", „Wyścigami" czy też „Podróżą myśli w świat dziejowy"? Starzy o nich zapomnieli, młodzi już nie zdołali poznać. Przeczuwała to ta wielka, kryształna dusza. W takich chwilach spowiadała się sama przed sobą: „Improwizująca, to nie medyum, ale osoba przytomna, przytomniejsza od tych, którzy... jej słuchają"... Ale ci „mniej przytomni" bili oklaski, przesadzali się w kadzidłach i

— Nigdy jej nie zaznam.

— Choćbyś zaznała, boję się, że zepsujesz sobie życie, marząc o tem, co być mogło i goniąc za wrażeniem coraz nowem.

— Ksiądz dla mnie bardzo srogi — szepnęła.

— Jestem, bo znam dusze podobne i wiem, jak mało z nich pożytku — dla nich samych, dla ludzi, dla Boga.

— Ja chcę się z tej duszy wyleczyć. Niech mi ksiądz pomoże.

— Jest na to jeden środek — umiłowanie czegoś po za sobą. Teraz pracujesz w oczekiwaniu... miłosnego próżniactwa. Spróbuj pokochać to, co robisz. Spróbuj. Przyrzekasz?...

— Postaram się...

. . . .

... To są myśli nietylko grzeszne, ale i niezdrowe... To wynik chorobliwej fantazyi — spełnienie jej przyniesie zawód?

... Stłumienie tych porywów to zbrodnia wobec własnego organizmu?

Który z nich dwóch miał słuszność: lekarz duszy, czy lekarz ciała?

Pierwszego usłuchać nie mogła, drugiego nie chciała... jeszcze.

. . . .

— Nie rozumiem doprawdy takiego lekceważenia. Mój artykuł dotychczas nie wyszedł. Obiecałeś go pan umieścić za dwa tygodnie. Od sześciu tygodni co wieczór, biorę „Brzask“ z emocyą, — no, i nic.

— Jakto — nic? panie hrabio? — oburza się Van Niecki — materyału tyle, że szpalty rozsadza.

— Przelewanie z pustego w próżne. Mam już tego dosyć.

— Artykuł pana hrabiego utknął — nie z mojej winy. Ja z tego zrobię kwestyę gabinetową: mam redagować pismo, to umieszczam, co *mnie* się podoba, a nie — to żegnam.

— No, nareszcie, obudziła się w panu energia. Bo już śmieli się, że jesteś malowanym redaktorem — *homme de paille* tych radykałów.

— Ja im pokażę!

— Mój panie, pokaż jaknajprędzej. Trzeba się cenić... Gdzież moja siostrzenica? — pyta hr. Zdzisław przechodząc odrazu w inny ton.

— Panna Dola jaż wyszła. Nie miałem dzisiaj czasu nią się zająć.

— Czy pan spostrzegł, że ona jakoś niedomaga.

— Zauważyłem. Istotnie przybladła.

— Tak, anemia, w wysokim stopniu. Zalecono jej ciepły klimat. Dobrze sie składa: moja żona wyjeżdża właśnie na Rivierę. Pojadą razem na dwa miesiące. A po powrocie... Będę z panem szczery, jak... równy z równym — ani moja żona ani ja, ani baronostwo Derp, słowem cała rodzina — nie życzy sobie, aby Dola pracowała wśród mężczyzn — przeważnie źle wychowanych. Za młoda, za ładna – komentarze, plotki.

— Istotnie, panie hrabio.

— I wam będzie lepiej, swobodniej.

— Zawsze to sobie myślałem. Ale co na to powie radca Olbięcki?

— To daleki krewny. My mamy większe prawa.

— Ale radca powziął pewne zobowiązania wobec „Brzasku“...

— Wiem, wiem, nic nie stracicie. Ja go obrobię. *C'est un vieux ramolli.* Można mu wszystko wmówić. A choćbyście stracili jedno ogłoszenie, dostaniecie inne. Zresztą w każdym razie zyskacie, pozbywając się nieużytku. Niby ja nie wiem. Dola nic nie potrafi. Zapychacie nią różne dziury. Pan wyszukujesz dla niej to to, to owo, wszystko na nic.

— Muszę przyznać, że dziwnie — naiwna.

— Powiedz pan — głupia. Nie żenuj się. Zresztą ona głupią nie jest — salonowo. Umie poprowadzić konwersacyę, umie znaleźć się w towarzystwie, bo jej tego uczono; ale zkądże ma umieć pracować — w naszej rodzinie nikt nigdy... Ona pierwsza. Ale dość już tej zabawy w samodzielność... Mamy dla niej inne projekty — matrymonialne.

— Dobra partya?

— Wcale niezła... Zrób mi pan przyjemność i napisz do niej, że nam przykro, ale jej uzdolnienia okazały się niedostateczne... Coś w tym rodzaju... nie potrzebuję panu dyktować... A skoro o tem mówimy przyznam panu, rodzinie przykro, że Dola bierze pieniądze od obcych — za nic... To jej przecież ubliża. Pan to rozumie.

— Nieraz też tak myślałem.

-- Tylko pan z tym listem nie zwlekaj. Dziś... Ot zaraz — napisz i wypraw pan przez woźnego. Moja żona chce wyjechać pojutrze. Dola wzdragała się niby ze względu na... obowiązki. A tak, będzie miała ręce rozwiązane.

— Ha! skoro pan hrabia sobie życzy.

---

wysuszali żaiem swych pochlebstw talent ogromny, talent z Bożej łaski. Talent ten, który potrafił wzruszać aż do łez w „Brankach w jassyrze“, byłby może tworzył rzeczy, godne stanąć obok najwspanialszych, gdyby... go los nie był oprawił w ramy jedwabnego dobrobytu całożyciowego i nie przysłonił tak legią bałwochwalczą wielbicieli—Lorentowicz jeden miał odwagę nazwać ich „gawiedzią salonową“—że dziś w takiej Galicyi, już nie wspominając o Poznańskiem, imię Deotymy znane jest jedynie z promiennej legendy...

Długo milczałem po tych wywodach pełnych przesady i zgorzkniałego pesymizmu. Wreszcie rzekłem:

— Zgodzić się niemniej musisz, że ubyło nam w Deotymie wielkie, piękne jak sen o przeszłości serce, na którem nie masz skazy...

— Tyś powiedział... Lecz za to kładąc jej laur na posągu, zasłużony i należny, pocóż pisać, jak to w tych dniach wyczytałem u jednego z arystarchów krytyki warszawskiej że „Sobieski“ Deotymy to „najwspanialszy utwór współczesnej Europy“ a „brzmi tak potężnemi akordy i taką siłą męzką olśniewa, że... blednie (!) przy niej nawet „Iliada“ Homera!...“

Na najbliższym rogu ulicy przyjaciel mój wysiadł, pozostawiając mnie memu rozstrojeniu, które spowodował wygłoszonemi przez się herezyami. Mimo całe me atoli oburzenie nań musiałem przyznać, że „Iliadzie“ Homera, nawet nasz cudny „Pan Tadeusz“ nie całkiem dorównywa... A przecie „Sobieskiego“ postawić na równi z epopeą Mickiewicza byłoby wprost krzywdzącem dla ś. p. Jadwigi Łuszczewskiej...

Wywody mego przyjaciela pesymisty przekonały mnie raz jeszcze dowodnie, że niema tak wielkiego słońca, któregoby nie zdołały przysłonić posępniejsze cienie refleksów prawdziwej krytyki. Jeśli jednak blask tego słońca zdoła owe refleksy w przestrzeni a przedewszystkiem w czasie przepędzić do czwartego wymiaru, to znak, że owe refleksy były krzywdzące i karygodne...

My wszyscy wierzymy, że ś. p. Deotyma była takiem słońcem...

Z tych i tym podobnych dumań rozbudził mnie nagle krzykliwy i szorstki głos roznosiciela gazet, drącego się na całe gardło:

— Straszna cholera w Warszawie za 4-ry grosze!...

Czy naprawdę taka straszna?... Bez najmniejszej przesady. Gdy zawitała niedawno temu do Petersburga, zastała naczelnika urzędu sanitarnego nadnewskiej stolicy d-ra Oppenheima, za granicą w Marienbadzie na kuracyi. U nas zaś czy lepiej się dzieje?... Gdy energia naszej biurokracyi i nadobna córa świętych ujść Gangesu podadzą sobie ręce, to tylko zlećmy się Bogu... Podobno jednak zmobilizowane kadry sanitarne do walki z cholerą czekają gotowe do odparcia ataku. Ale równocześnie czekają na jej gościnne przyjęcie nieopisane niechlujstwo i nędza bulwarów warszawskich między Tamką a Lipową, gdzie zwożą z całego miasta śmiecie do basenów z cuchnącą wodą. Ta woda, to należy jej przyznać, niema odpływu ani przypływu. Chyba że się zlituje nad nią słota... W tych właśnie śmieciach jak żuki grzebią dniami całemi biedacy, bo ich to ratuje od śmierci głodowej. Ale czy ich uratuje od zarazka cholery w tak opłakanych warunkach sanitarnych? Cóż przeszkadza, aby owe sterty śmieci, podlegające ustawicznemu gniciu i fermentowaniu zgarniać na kupę i spalać, jak się to czyni obowiązkowo za granicą, lub conajmniej przesypywać je wapnem i innemi środkami dezynfekcyjnemi.

Już nie mówiąc o takiej Szmulowiznie lub osławionej, gnijącej sadzawce na Mokotowie, przebrudnej w ogólności, a już obok t. zw.

— Ja pana o to bardzo proszę.

— Trzeba jeszcze sprawdzić, czy jej się co należy.

... Panie Bodnar! Conto panny Żalińskiej! — huknął, otwierając drzwi.

Po chwili do gabinetu redakcyjnego wszedł stary Bodnar.

— Panna Żalińska winna jest kasie dwadzieścia dwa ruble.

— Jakim sposobem?

— Wzięła zaliczkę.

— Od kogo?

— Odemnie.

— Na kwitek?

Bodnar głową skinął.

— A zawsze mówię: nie dawać bez asygnacyi — gromił go redaktor.

— Mniejsza o to — przerwał hr. Zdzisław — oddaję dług za moją siostrzenicę.

— Przepraszam, tu chodzi o zasadę — upierał się Van Niecki, który lubił uchodzić za niezłomnego. Nie przeszkadzało mu to jednak brać zaliczeń na prosty kwitek, ile razy potrzebował pieniędzy— to jest często.

— Może pan odejść — rzekł do Bodnara z miną łaskawego chlebodawcy, a zwracając się do hr. Orlickiego, rzekł:

— Niełatwo utrzymać w rygorze tę hołotę. Już mi oni wszyscy stanęli kością w gardle.

— Nic mi pana nie żal. Po co było wychodzić z „Gleby" i wdawać się z tymi radykałami. Co pan ma z nimi wspólnego? Toć chyba nie przekonania, bo pan jest *nasz*, z krwi i ducha. Musisz pan do nas wrócić.

— Ba! gdyby się dało!

— W tem już moja rzecz.

— Panie hrabio, byłbym nieskończenie wdzięczny, bo doprawdy, nie jestem tu na mojem miejscu.

— No, no, pogadamy jeszcze. Dowidzenia, a polecam panu mój artykuł, i ten list do panny Żalińskiej.

. . . .

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pamięci Deotymy.

D. 26 września 1908 r.

Rozkołysany jęknął spiż
I nutą łkał grobową,
Bo wyzwolone z więzów, w Wyż
Wionęło Pieśni słowo.

. . . .

Szła ona wśród dziejowych dróg;
Wieszała mosty z tęczy
Nad bursztynowy Baltyku próg
Od turni do przełęczy.

Pieśniarką była wiślanych fal
Od źródeł ich prabytu
Aż tam, gdzie płyną w morską dal
Z kolebki ziarn granitu.

Kolumną była marmurową
Rzeźbioną w liść akantu
Pod strop niebieski sięgła głową
W dyademie skier brylantu.

Jej fundamenty wrosły w głaz
Gdzie proch się grobów plemi
I stała prosta, próżna skaz
Od nieba aż do ziemi.

Wywiodła zastęp polskich sług
Z minionych lat pramytów
Pieśni jej słuchał aż sam Bóg,
Spowitej w płaszcz z błękitów.

. . . .

Serce, kochało ojców łan
Miłością — wierz, piastuna
Pełne ojczystych cierni, ran
Pękło... i pękła struna.

Zamilkła harfa kryształowa
Co miała dźwięk i boski ton
I niezrównaną czystość słowa
Z narodzin — aż poza zgon.

Królewskie berło wskrzesicielki
Wypadło jej z białych rąk
Królewski Duch wypłynął Wielki
Z krainy tej, łez i mąk!

. . . .

Rozpłakał się nam dzisiaj spiż
W podzwonną pieśń grobową
Bo uleciało w Dal i w Wyż
Wcielone natchnień słowo!

Jadwiga Ehrenbergowa
(Agi-Wdaj).

„Kaskady" popisowo... Miejsc ustępowych tam się wcale nie dezynfekuje, rynsztoki są stale porujnowane, skutkiem czego kałuże pełne odpadków i nieczystości stoją w nich całemi miesiącami. Podwórza tamtejsze to istne wielkie, poprawnie hodowane i kultywowane gnojówki...

Niech zostanę konduktorem warszawskim tramwai elektrycznych, jeśli cholera nie znajdzie tam istnego eldorada dla siebie...

A komitety obywatelskie, które dawnemi laty stale zrywały się do walki z najezdnicą z nad Gangesu, jeszcze śpią... Jestem pewny, że je pobudzą i zgalwanizują nasze tak dzielne w pracy i pomysłowości wszędzie, tam gdzie chodzi o obronę nędzarzy, — warszawianki...

Rozgardyasz, jaki w naszej stolicy wywołała swem najściem cholera, osłabiła w zupełności sensacyę, takiego wypadku, jak rezygnacya p. Rajchmana ze stanowiska kierownika tak lubianej Filharmonii warszawskiej. Dziś sławę jego dyrektorską podziurawiono jak pomnik Kościuszki w Ameryce, nb. jeśli wierzyć można doniesieniom tamtejszej amerykańskiej prasy. A jednak trudno nie przyznać, że człowiek ten i tylko on tę instytucyę stworzył, wychodził, zmontował i tyle lat prowadził... I ostatecznie bałbym się zaryzykować twierdzenia, że się bez niego utrzyma. Miał może ustępujący dyrektor pewne wady jako kierownik artystyczny ale był często niezastąpionym jako administracyjny. Jestem pewny, że bez niego instytucya byłaby się już dotąd ze trzy razy rozsypała, jak domek z kart. Były dyrektor Filharmonii był nie tylko często prawie geniuszem przyszłości ale i wytrzymałości wśród naszych kochanych przemiłych waruneczków, które coprawda lubił niekiedy zaogniać do niemożliwości. Wiedział bowiem, że jest niespalnym jak salamandra. Dziś bawi już w Paryżu, jako „pan bez ziemi" a jak każdy „propheta patriae suae" i za całą nagrodę swej 10 letniej, iście syzyfowej, pracy nad utrzymaniem Filharmonii, ma chyba tę słabą pociechę, że od czasu, gdy Napoleona i Bismarcka zastąpiono, trudno, aby stanowisko po nim miało być nieobsadzonem...

A jeśli nikt się na niem nie zdoła utrzymać?...

Niedaleka już może przyszłość to pokaże. Pokaże też ona również, czy austryackie ministeryum kolejowe weźmie sobie do serca nawoływania prasy galicyjskiej, ażeby przecież choć trochę możliwem uczynić połączenie „Kraków-Warszawa". Na przestrzeni tej trzeba się aż trzy razy przesiadać. Przytem na przestrzeni między Trzebinią a Krakowem, gdzie trzeba nieraz godzinę w nocy na deszczu moknąć, kolej austryacka wysyła nie do opisania brudne i niewygodne wagony. A przecie dziś, gdy tylu naszych chętniej obiera kierunek na Wiedeń a nie na znienawidzony nam Berlin, stosunki owe, przefatalne między Trzebinią a Krakowem powinny być stanowczo uregulowane. Austryackie koleje uczynią to z pewnością w swoim własnym interesie Tyle grosza przecie, co im przynieść mogą i przyniosą Królewiacy, to rzecz nie do odrzucenia...

Ci zaś Królewiacy, zwłaszcza owi, co mają niekiedy więcej obiadów niż apetytu, właśnie wrócili z wywczasów słodkich już to z zagranicy, już to z letnisk i gotują się do kampanii wielko-sezonowej. Mała uwaga: czyżby ze strony tych, co tyle użyli wobec tych, co się tu kwasili i więdli w nędzy na bruku z braku środków przez całe lato, nie należało się jakieś, bodaj filantropijne i ze wzmocnioną energią okazane odszkodowanie...

Pomyślcie nad tem poważnie i uważnie, wy interesowane i interesowani...

Maryan M. Winiarski.

Deotyma.

Wypalił się znicz, płonący niezmiennie na druidycznym ołtarzu pokoleń. Zgasło życie, co oddawna kazało zamilknąć sercu własnemu, aby obudzić zamierzchłe echa przeszłości. Uleciała dusza, od początku drogi swojej zapatrzona w gwiazdy, karmiona na każdy dzień legendą o bohaterstwie, stąpająca dumnie w kryształowej wyniosłości ducha, strąconego na ziemię zupełnie przypadkowo, szukająca patosu i rycerskiego gestu w świecie twardych zapasów o kęs chleba, tworząca pieśń-marzenie na modłę błękitnych stropów kościelnych z przędziwa snów swoich złotych, samotniczych.

O przeszłość oparta, na przeszłości wyrosła, z niej czerpała życie i chwałę, twórczość i marzenie. Z tych światów, w grób zapadłych, na proch spopielałych, biły na nią słupy światła żywe i wiodły ją przez puszczę dni dzisiejszych do ziemi obiecanej, gdzie wszechwładnie panuje ład i pogoda.

Przeszłość nie była dla niej abstrakcyą, pojęciem retrospektywnem, zabytkiem muzealnym, niepowrotną ruiną, melancholijnem spojrzeniem wstecz na rzeczy umarłe, ale istotą żywą, osobową i jedynie opiewania wartą. Ze świeżym rumieńcem życia stawały przed nią postacie dziewic i rycerzy, tętniła ziemia pod cwałem husaryi, szumiały skrzydła, proporce wiły się na wietrze, pękały miecze, kopje kruszyły się w dłoniach olbrzymów... To była jej teraźniejszość. Za oknem jej pracowni świat szedł swoją drogą, szary, mrówczy świat, taki mały wobec zapasu tytanów... Więc odwracały się od niego oczy poetki, aby spocząć w tajemnej świątyni legendy, gdzie dostęp mają jeno ci, dla których życie umarło

Świątynia ta była skarbnicą pamiątek. Uchylało się niebo, olśniewając tęczami wnętrza. Ręce grzęzły w klejnotach bez ceny, tych samych, co zapełgały w czarodziejskiem misteryum Jadwigi. Tajemnicza pokrywa opadała z trzaskiem, gasło wszystko, świat się czynił martwy, obcy, niemy, jak mogiła. To był świat, którym żyli jego współcześni, następne, drugie już z rzędu pokolenie. Ona nim żyć nie mogła. Pieściła w sercu cudną wizyę przeszłości i dziwiła się, że ludzie przyszłość budować chcą na niepewne, że pragną zmian, kiedy przecież wszystko już było, wszystkiego już próbowano...

... Duchy bratnie jej marzeń, rycerze z nimbem radosnego bohaterstwa u skroni, otaczali ją wieńcem, a ona z ich koła wychodziła ku ludziom, z pewną wykwintną nieufnością spoglądając na nowe walki i bóle, na wiecznie odradzające się męczeństwo ducha, na nowe kształty odwiecznych idei... Królewskim gestem odwracała się od tego, co niosło życie na bujnych falach wieku, bo oczy jej przesłonięte były złotemi skrzydłami archaniołów.

Zapach myrry i kadzidła, woń róż jerychońskich, więdnących w komnacie kasztelanki, mistyczne tchnienie średniowiecza, nieprzytłumione szeroką erudycyą, wiało z kart jej księgi, proszącej się o pergamin „in folio", o karmin i złoto, o benedyktyńską skrzętność w rozkwitłych koronach inicyałów.

Cały urok i świeżość wczesnego gotyku odbił się w źwierciadle jej twórczości. Skłonność do ornamentu, głęboka a razem świadomie naiwna perspektywa, lubowanie się w szczegółach, idealna strzelistość budowy przy subtelnem wykończaniu drugich i trzecich planów, — polot i fidjaszowa miara bohaterów, cała galerya postaci wtórnych, masek i maseczek, karjatyd i smoków, podtrzymujących stropy, praca nie na jednego człowieka, ale na pokolenia, — cały ten nawał kształtów i kolorów, rzeźb i płócien, zamęt rytych na miedzi, dzierganych w kamieniu koronek, powódź kwiatów, oplatujących cokuły, plątanina łuków, zworników i sklepień, — a ponad wszystkiem pogodne oko Boga, jak słońce.

W tym staroświeckim, na modłę „trecenta" wzniesionym tumie królował zawsze i niepodzielnie krzyż, ten boski symbol Odkupienia, Zasługi i Ofiary.

Są poeci — boleśni poszukiwacze prawd, są duchy prometejskie i duchy anheliczne, są męczennicy zwątpienia i pieśniarze religijnego dualizmu, — ona, dla której tajniki kultów były otwartą księgą, — miała pewność i przeświadczenie, była poetką gorącej wiary. Wierzyła w Boga, wierzyła w naród, wierzyła w wielką świętość ideału i zwycięstwo ducha. Godna spadkobierczyni sodalisów, jak rycerz kresowy stała niezłomnie przy sztandarze wspomnień i tradycyi. Nie otwierała grobów, nie zdzierała całunów z wielkich trumien, ale je przystrajała w kwiaty i tęcze fantazyi. W tem znać było jej niewieścią pełną pietyzmu i rozmiłowania dłoń, krzątającą się ze czcią około narodowych relikwii. Każdy jej czyn nosił piętno trudu, pracy i zabiegliwości przedziwnej, do jakiej zdolna jest tylko dusza nawskroś kobieca.

Nie sława, lecz chwała, nie tryumf piękna, ale zwycięstwo zasługi było jej celem i ideałem. Samotna wśród pokolenia, które składało wszystko na ołtarzu „czystej sztuki", głosząc zasadę swobody artyzmu, — ujęła swą twórczość w karby logiki i systematu, rumakowi natchnienia wcześnie nałożyła wędzidło, potokom słów kazała płynąć w ściśle określonem łożysku, według zgóry odmierzonego planu, wymiarów i rytmu. Była kapłanką swojej reguły, hołdowniczką ładu i harmonii. Ztąd marmurowa klasyczność, ztąd czystość linii jej postaci, ztąd obok wielkiej chrześcijańskiej rezygnacyi ten uśmiech ateńskiego mędrca, ta kropla dumy greckiej, co jej kazała żyć, cierpieć i umierać — bez skargi.

I rzeczywiście wśród jej utworów niema nic, coby zakrawało na egotyzm. Czy tak skromnie ceniła swą indywidualność? czy też może raczej zazdrośnie kryła ją przed oczami tłumu, zachowując dla wybranych rąbki uczuć i myśli?

Czyż nigdy w pierś rycerki, zaprzysiężonej w dośmiertną służbę ideału nie uderzyła burza zwątpień, — czyż nigdy fala życia, dopominającego się o swoje prawa nie zadzwoniła o zbroję, kutą w ogniach nieśmiertelności? — Nie do nas należy odpowiedź. Niech o tem świadczą jej pieśni. — One mają głos.

Niech się odezwie „Wanda", ten najsubtelniejszy, najbardziej dyskretny autoportret, jaki spotkać można w literaturze.

Niech „krzyż nad otchłanią" zawoła wielkim głosem duszy kobiecej, skazanej na wieczny głód szczęścia, na wieczną tęsknotę za niebem na ziemi.

Jej pieśni mają głos! Niech żywe mówią do nas z za grobu!

Stefanja Podhorska-Okołów.

O „księdze" Żeromskiego.

(Duma o Hetmanie).

Krocie *książek* wychodzi bez przerwy z pod tłoczni drukarskich, a jakże mało jest *ksiąg* między niemi, tych, które nie przemijają, które się stają nierozdzielną częścią zbiorowej duszy narodu, tych, które *musiały* się zjawić, bez których bylibyśmy ubożsi, które nie tylko same stają się nieśmiertelnemi, ale nadewszystko naród czynią nieśmiertelnym.

Ani z soli, ani z roli, ale z tego, co nas boli — wyrastamy dziś i przemy naprzód, a historya chce, byśmy wchłonęli w siebie, jako naród, cały tragizm wszystkich bólów, byśmy się sami ukamienowali, sami biczowali, sami winy odkupili swoje, a zbawienia wiecznego przez krzyżową mękę dostąpili.

Nie mamy spowiednika. Sami się przed sobą kruszyć mamy, a godziny cudu szukać będziemy w samopoznaniu.

Hetmani nam pomogą, rycerze współcześni, — bez bojaźni, bez zarzutu.

Wieszcz — milionów bóle wchłonie w siebie, a nam odda kryształowe, lustrzane obrazy, w których niecną duszę kto ujrzy swoją, — wzdrygnie się od włosów wierzchołka do pięt — znienawidzi niegodność swoją, a glinę, w żwir bogatą, w delikatny kaolin zamieni i wypali z niego najmisterniejszy filigran.

W chaosie życia — cóż my widzimy?

Któż na orli wzlot się zdobędzie i ujrzy stamtąd nie tylko krwawe niwy, bezsłoneczne chaty, gnijące miasta, — ale i przeniknie jasnowidzenia wzrokiem pleśnią przykryte dzieje narodu-dziecka, jak kobieta kapryśnego, jak Don Kichot szlachetnego, narodu bezwiednie zmysłowego, rwącego się — jak dziki mustang na preriach, — bez celu?

Któż, jeżeli nie artysta, którego dusza nie zna czasu, nie ma granic, a złączyła cudną syntezą niewyśnione sny, niespełnione marzenia?

Któż, jeżeli nie czciciel ojczyzny, jako ideału świętego świętych, jako praźródła naszego życia, — i szczęścia?

Umiłowanie wielkie sprawy publicznej, — rzeczy pospolitej — daje ten lot, tę siłę, tę testamentu moc.

Po epoce suchych materyalistycznych i pozytywistycznych dociekań mieliśmy epokę poszukiwania „nagiej“ duszy jednostki. Indywiduum ludzkie natchnięto duszą w nagrodę za długotrwałą cierpliwość jego w dochodzeniach zwierzęcego atawizmu, — i postawiono sobie za cel dotrzeć do najpierwotniejszych składników duszy jednostkowej, do praprzyczyn najdrobniejszych jej szmerów, do zkodyfikowania jej anarchii.

Po epoce zapasów kopalnianych w duszy *człowieka* — żyjemy dziś w epoce nowych odkryć. Na drogach duszy jednostki dotarliśmy do niewyczerpanych badań nad duszą *narodu*, rasy, państwa.

Do tych zapasów tytanicznych, — rycerskich sił potrzebujących, tytanicznegośmy bojownika znaleźli — w Wyspiańskim. „Wesele“, „Wyzwolenie“, „Noc listopadowa“, „Klątwa“ — to sondy, zapuszczone w niezbadane rany narodowe, — sondy, które bez omyłki określiły chroniczny stan przeklętych chorób.

Dalej prowadzi tę robotę życiodajną, — Żeromski.

Różnemi drogami ku celom tym on dąży.

Z prokuratora — spowiednikiem się staje.

Blizka to droga i daleka.

Którędy łatwiej do serc trafić bliźnich? — czy w ponurej sądowej sali, gdzie na ławach oskarżonych zasiada Ludzkość, a prokurator-artysta oskarża ją strasznie, bezwzględnie, i na zasadzie paragrafu Piękna — a w imieniu tej oto, — współczucia jedynie godnej, — ofiary na ołtarzu Sfinksa — Ewy Pobratymskiej,—czy— w równie ponurych sklepieniach świątyni historyi narodowej—przez usta kapłana, żądającego wyznania najstrasznejszej zbrodni?

— „Och, polskiego wyuzdania duchu, wrosły w serce, — ojcowski, własny, a obcy, — rodzimy, — a wrogi!“

Skup się, bo wysłuchasz sen o sobie, sen człowieka o broczącem krwią sercu.

Źle był zrozumiany prokurator!

Bez osłon druzgocące słowa jego — powagi pełne — zbudziły trywjalne żądze bestyalnych poczwar. Z plamką małą słońce — na małą plamkę jedynie uwagę skupiło. I stała się rzecz nieoczekiwana: „Dzieje Grzechu“ przeniknęły w społeczeństwo, nie jako akt samooskarżenia, lecz jako piękny i kolosalny skandal;—czytali to dzieło pokuty wszyscy, *) — ale jakże zhańbili czystość jego ideału! — Podobni byli do kogoś, ktoby o „człowieku“ sądził nie z czoła jego, myśli i ducha lecz z inynch składników jego ciała, które jednak muszą istnieć, i bez których arcydzieło „człowieka“ nie byłoby kompletne.

Z prokuratora — spowiednik.

To ten sam człowiek. I raz i drugi wyższemi się rządzi prawami w pojmowaniu obowiązków człowieka lub narodu.

Trudno jest o dzieło Sztuki, w którem by temat grał mniejszą rolę, niż w „Dumie o Hetmanie!“ O hetmanie czy królu — wszystko jedno; o Żółkiewskim, królu Chrobrym, Stefanie Batorym, Sobieskim, o Józefie Poniatowskim, Janie Zamoyskim — wszystko jedno!

— „Ciebie się nie tylko boję, lecz lękam, o wolna, o kresu nie znająca duszo polska!“— to jest ważne, a dalej:

— „Zestąp się i zrośnij w jedno, o rozszarpany polski duchu“! — to jeszcze ważniejsze.

Poeta bólu *ludzi bezdomnych* i tych, których dzieje są *dziejami cudzych grzechów*, — wyrzeźbił w patetycznej prozie tak szlachetnej jakiej dziś prawie nie spotykamy,—wyrzeźbił dzieje grzechu polskiego narodu, gdzie „każdy król, każdy z osobna wódz,... z kim chce, z tym zawiera przymierze, z kim chce prowadzi wojnę i gdzie chce szuka ojczyzny.... gdzie kocha się człowiek nasz nadewszystko w widowisku strącania wielkości z jej stolicy“. — Nie znosi człowiek nasz dla wielkości zachwytu.

Lecz nic to, nic! Im okrutniejsze jest plemię, tem głębiej wrzyna się w nie miłość nasza! Własne to nasze, hetmańskie zadanie.

Tak też ofiarnikiem wielkim narodu jest każdy nasz „hetman“. Musi się schylić, musi się zgiąć na wzór obręczy. Pokorą swoją musi opasać szaleństwo tłumu. Widzimy w księdze Żeromskiego, czem jest polskie szaleństwo: rozpadną się jak klepki, jeśli im się ich hetman równym w podłości nie wyda.

Bo wpośród nas zasiada niewidzialna nasza wieczna królowa — Zgoda

A Zgoda nasza narodowa jest w tem wszystkiem, co ani jednemu z nas niczem nie wadzi, ani jednego z nas na nic nie naraża, a wszystkim nam korzyść przynosi.

Wpośród ogólnego u nas zaniku bohaterskiej odwagi, cywilnego rycerstwa, artystom w dziale przypadło rzucać w twarz narodowi rękawicę wyzwania, obdarzać go biskupim bierzmowania policzkiem miłości, mocy i duchowego tchnienia.

Tę misyę spadkobierczą po Wyspiańskim pełni dziś marzyciel snów hetmańskich.

Straszne są te sny — straszne są te myśli.

Zbyt straszne, by inaczej je wyrazić można jak w śnie, a wybór tej właśnie formy jest świadectwem najwyższego w autorze napięcia artyzmu.

To jest środek dzieła.

Do klęski Cecorskiej droga mozolną była. Piekielne, mąk fizycznych pełne, anabasis prologowe wprowadza nas w prawdziwość sennych marzeń. Ten zdeterminowany pochód tysiąca walecznych już jest tragizmu wcieleniem sam w sobie.

Orzeł — mogilnik, Rzeczypospolitej wojen i rada, Stefana króla żołnierz — hetman i kanclerz, sławy polskiej piastun, rozpacz wylewał w spoczeniu na mających umrzeć, a siłę hartował na widok tych samych zatraceńców, których miłował za ich rycerską duszę i pomimo ich śmiertelnych dla Rzeczypospolitej wad, pomimo tego *sekretu* życia naszej ojczyzny, według którego wszystko, z czego wyrastać ma poświęcenie, — wszystko, co się będzie sprzeciwiało któregokolwiek z nas korzyści, wszystko, coby stanowić miało odmianę starodawnego dopasowania każdego wygody do wszystkich zgody, zdeptujemy tłumnym pospólstwa naszego krzykiem i niszczymy ze zdrową pysą.

Oto jest sekret bytu Rzeczypospolitej, — oto łez źródło, — oto mara, senne widziadło, to nasze periculum, to najwyższy motyw dzieła.

Żółkiewskiemu sen Żeromski nadał, ale nie on jeden, Cecory ofiara, tak śnił.

I Batory powziął był cudowny o nas sen, któregośmy sami, wszyscy razem nie wyśnili.

Samobójstwa opisem jest epilog księgi. Trzynastu bohaterów ocala sztandar męskiego ducha polskiego, dając swe cenne głosy na pomnik niezniszczalnej miłości ojczyzny.

Po drogach nagiej duszy narodowej poprowadził nas bólu poeta w kunsztownych, przebogatych, różnorodnych, zbytkownych formach, — jakże różnych: w batalii i proroctwie, historyozofii i eposie, rosyanizmie i tragicznym dyalogu!

Jakże jednak daleko odbiega Żeromski od Wyspiańskiego beznadziejnej rozpaczy po zagubionym złotym rogu i z powodu jedynych ostatków — sznura.

O, bo *jest* w orszaku ludzi polskich geniusz lotny, *jest* od przemocy zamęczona czcigodna wola. *Są* ludzie nowotnej Polski o duszy niebiańskiej, motyle cudnoskrzydłe rodu człowieczego, kwiaty cudowne w rubasznem pustkowiu.

I przysięga on, że przez trud tych dusz w Polsce samotnych wydźwignie się anioł jej wewnętrzną mocą swoją z cielesnej poczwary!...

Najpotworniejszym błędem narodowej polityki naszej było pono to, co Żeromski zawarł w stronicach o moskiewskiej wyprawie, o grzechach naszych w białokamiennej Moskwy — macierzy murach i na równinach Rosyi carowej. Wyśnił też go w potwornie silnych, druzgocących, pięknych kaskadach słowa, jak zdrój czystych, posągowo poważnych i zharmonizowanych do granic doskonałości.

Mścisławskiego słowa płynne należą już do najpiękniejszych stron w polskiej literaturze tak co do formy, która stoi na rubieży artystycznej równowagi pomiędzy patetyczną prozą a białym wierszem, jak co do treści — smutnej w powadze historycznej doniosłości, silnej w głosie cudzoziemca rozumiejącego to, czego myśmy zrozumieć nie mogli.

I łamałem ręce, mur tłukłem głową,—
czyli znajdę w Polsce Rusi zbawienie.

. . . .

Więc głęboką dumę usnułem w sercu:
pójdę ja w Zachód szukać nauki,
nie przestraszę się polskiej elekcyi,

. . . .

a przypatrzę się, jak żyją wolni,

. . . .

jak uczą młodzież, budują miasta
stawiają gmachy, kunszty kształtują.

. . . .

Siądzie Zygmuntowicz na wysoki tron
i okoli go wierny ruski sejm,

. . . .

a po miastach tryśnie światło nauki...

*) Nie godzimy się tu z Sz. autorem. (Przyp. Red.)



GRONO OSÓB, PO WSPÓLNEM ŚNIADANIU URZĄDZONEM NA WYSTAWIE „DZIECKO“ W WILNIE, Z GOŚĆMI Z WARSZAWY I POSŁAMI DO DUMY.

Jeżeli w takiej, jak ta, książce, samem marzeniem będącej, samą ideą, bez odrobiny życiowości aktualnej, która życiem jest sama przez się, — może być mowa o akcyi żywej tragedyi, to jest ona, — potężna w trylogu: hetman, król, Samuel Zborowski.

Duch Pana i Szlachcica z jednej, — to Samuel Zborowski; — fanatyzm Patryoty z drugiej, — to hetman Żółkiewski; — geniusz potęgi, mocy, władzy — z trzeciej — to król Stefan.

Z jednej strony:

„... Moja jest ta ziemia polska, Samuelowa, do mnie jedynego należy, — ...“

Z drugiej strony:

„... Jam jest urząd ojczysty. Ty zdrajcą jej byłeś ...“

Z trzeciej strony:

„... Jam wasz król i mój się stanie rozkaz. Powziąłem był cudowny o was sen, któregoście sami, wszyscy razem, nie wyśnili. Przez Moskwę chciałem iść na waszem czele w Carogrodu bramy. Jam jeden, przychodzień, widział wszystką naszą polską niemoc, ujrzałem pod ryngrafem ranę, i zapragnąłem podać wam kordyał ratunku. Tyś mię wyzwał, synu złotej wolności rozszalały, a jam cię ściął...“

Nie sam jest Żeromski pośród dzisiejszych poetów-myślicieli, patryotów-duchów, którzy kluczem geniuszu swego otwierają potrochu, zamkniętą dotąd na 7 spustów, wieżę polskiego sensu narodowego, polskiej zagadki nieby tu. Po Wyspiańskim pozostał Reymont, sekundowany przez Tetmajera, gdy ten w ludowych bytowaniach żyje.

Są liczne w księdze miejsca które każą się domyślać, że to ostatnie lata tragicznych zmagań naszych, gdzie każdy sobie pan, a hetmana oczekiwano napróżno, — kiedy powtórzyła się po raz już wieloraki nasza zgoda, która nikomu z nas nie wadzi w niczem, — że to ostatnich lat smutne dzieje,— a nadewszystko te dziwne analogie naszych główniejszych aktorów historycznych, jeszcze raz powtórzone, — dały Żeromskiemu ideę Dumy. Poco nam to wiedzieć? Czy żeby zaspokoić tych, którzy, zapatrzeni we wschodnią literaturę, robili naszym twórcom zarzuty odporności na ataki minionych wrażeń?!...

Na najwyższe szczeble twórczości, poezyi i zasługi narodowej wzniósł się swą księgą Żeromski.

Gustaw Olechowski.

WYSTAWA „DZIECKO“ w Wilnie.

Zamknięta we wrześniu r. b. w Wilnie wystawa pod nazwą „Dziecko“ zapisana być winna w szeregu zacnych czynów w dziedzinie pracy zbiorowej, zmierzającej do zapewnienia opieki nad dziećmi; czyn ten jest tem donioślejszy, że urządzenie w Wilnie wystawy nie należy do przedsięwzięć łatwych. Komitet wystawy „Dziecko“ z panem Józefem Montwiłłem i panią Jadwigą Leszczyńską na czele przezwyciężył trudności i dał Wilnu nader interesującą całość.

Okazy wystawowe umieszczono w salach i korytarzach gmachu po-dominikańskiego; okazy dotyczyły zdrowia i wychowania dziecka. Na całość wystawy złożyły się nietylko eksponaty zakładów wychowawczych wileńskich, lecz również i z innych miast Litwy, jakoteż z Królestwa Polskiego. Dla zainteresowania nietylko ludzi idei, lecz i dla ożywienia przemysłu miejscowego, dobijającego się poparcia, na wystawę przyjęto pewną część okazów nie należących do pedagogii. Z tego niepodobna czynić komitetowi głębszego zarzutu.

W Warszawie wystawa rzeczona za mało była znana. A szkoda, bo nietylko że była nader pouczająca i interesująca, lecz nadto dawała możność bezpośredniego poznania i zetknięcia się z wybitnemi jednostkami, które na gruncie litewskim prowadzą zacne dzieło, mające na celu zapobieganie niedoli dziecięcej.

Z gazet wiadomo, jakich na wystawie udzielono nagród; wystarczy zatem tutaj zanotować tylko, że z instytucyi warszawskich odznaczono najwyższemi nagrodami okazy nadesłane przez Towarzystwo opieki nad dziećmi, przez zarząd ogrodów Raua, przez „Kroplę mleka“, przez Towarzystwo urządzeń szkolnych „Urania“; z pojedyńczych osób, prowadzących zakłady pedagogiczne, odznaczono z Warszawy panią Radziwiłłowiczową i p. Helenę Prawdzic-Kuczalską (zakład gimnastyki szwedzkiej).

Objaśnień na wystawie udzielały panie: Leszczyńska, Ciundziewicka, Sokulska, Zacharzewska, panna Dora Kończanka, hrabianka Anna Mohlówna i inne, które przyczyniły się do ożywienia na wystawie i zrozumienia jej.

Niemałem urozmaiceniem głębszego znaczenia były odczyty, urządzone przez komitet podczas trwania wystawy. Zaproszono do ich wypowiedzenia prawie wyłącznie prelegentów z Warszawy. Odbyły się one w okresie czasu od 6 do 12 września. D-r Tchórznicki mówił o „szkole i zębach“; zebrał on dane statystyczne co do dzieci ze szkół wiejskich i wykazał, że zęby u dzieci naszych są w nader złym stanie. D-r Maryan Roszkowski mówił „O krzywicy u dzieci“; prelegent nawoływał do ratowania nieszczęśliwych dzieci, dotkniętych tą rozpowszechnioną chorobą i monstrualne okazy przedstawił w niknących obrazach na ekranie. D-r Konwerski mówił „O chorobach nerwowych u dzieci“ i podawał środki zaradcze i hygieniczne, przy których pomocy można uchronić dzieci wielu rodzin od nieszczęścia. Po tym odczycie pani Welfle udzielała nader pouczających objaśnień co do metod wychowawczych, stosowanych względem dzieci niedorozwiniętych w ochronie sierot ewangielickich w Warszawie. Pani Helena Kuczalska mówiła „O postulatach wychowania fizycznego“. D-r Kazimierz Kaczyński miewał pogadanki z dziedzinybakterjologii, demonstrując preparaty, wykonane przez siebie i przez d-ra Serkowskiego. D-r Severin mówił o szpitalach dla dzieci, poruszając ważną sprawę zakładania ich. Pan Wł. Kozłowski — „O stopniowem wychowaniu pojęć w rozwoju dziecka“, zalecając ćwiczenia ruchowe na wolnem powietrzu, które w ogrodzie Raua dały doskonałe wyniki. Mecenas Stanisław Kijeński przedstawił całokształt organizacyi warszawskiego Towarzystwa opieki nad dziećmi, porównywał statut Towarzystwa opieki nad dziećmi w Warszawie i w Wilnie, opisał „Dom opieki“, który w Warszawie przy ul. Pięknej N-r 9 prowadzi Towarzystwo opieki nad dziećmi, a który stanowi wzorową i jedyną swego rodzaju instytucyę centralną Towarzystwa, opiekującą się głównie najnieszczęśliwszemi dziećmi, bo dziećmi opuszczonemi i bezdomnemi. Prelegent budził zapał do sprawy, gorąco miłowanej przez grono przyjaciół dzieci, a nadto zapoznawał koło litewskich działaczów społecznych ze sprawą organizacyi opieki dzieci, sprawą ogólną i wielce ważną.

Wszystkie odczyty miały powodzenie, będąc doskonałem dopełnieniem wystawy, ale szczególniej odczyt mesenasa Kijeńskiego obszernością wywodów zwrócił uwagę i wywołał głębokie wrażenie.

Niepodobna nie wspomnieć, że wielką atrakcyą wystawy były codzienne zabawy dzieci z ochron wileńskich, urządzane w dziedzińcu gmachu po-dominikańskiego, tuż obok wystawy. Dziatwa codzień igrała i gimnastykowała się pod wodzą nauczyciela, a ruchy jej zręczne i sprężyste wywoływały powszechne pochwały.

Nakoniec Komitet wystawy urządził dla gości, przybyłych z Warszawy i z innych miejsc, kilka wycieczek. 10 września za staraniem p. Montwiłła odbyła się niezmiernie miła wycieczka do Trok i Zatrocza. Po drodze z Landwerowa do Trok zatrzymano się chwilę w koloniach letnich pani Ciundziewickiej, gdzie odbyły się popisy gimnastyczne dziatwy. Kilkowiorstowa droga do Trok jest pełna uroku. Dla wielu z pośród czterdziestu uczestników wycieczki uroki tej drogi i piękno niezwykłe całej okolicy były miłą niespodzianką. Żałować wypada, że w Królestwie i w Warszawie ludzie za mało wiedzą o tem, że wycieczka do Trok, jak wogóle wycieczka do Wilna, słynnego z nadzwyczaj pięknych okolic, zadowolnić może nawet daleko sięgające wymagania turystyczno-estetyczne. Do tych miejscowości powinny być urządzane wycieczki zbiorowe. Ograniczając się na tem miejscu dorywczą notatką, wspomnieć należy, że w Trokach goście obejrzeli wspaniałe ruiny starożytnego zamku, zbudowanego jeszcze w r. 1340 przez Kiejstuta, a mającego sławę twierdzy niemożliwej do zdobycia. Gdy Krzyżacy w swych pochodach pustoszyli Litwę, omijali Troki. Tu mieszkał Witold i tu przyjmował poselstwo z Krymu. Tu mieszkała przed ślubem Barbara Radziwiłłówna, tu ucztowano i walczono ongi z carem Aleksiejem, który zdobył Troki i położył kres ich świetności. Do ruin, położonych w pośrodku jednej z wysp dużego i pięknego jeziora, przewożą wygodnemi łodziami z miasteczka Trok. U drugiego brzegu jeziora widnieje biały pałac Zatrocza, własność hr. Józefa Tyszkiewicza, który podejmował wycieczkowiczów i pokazywał im rozlegly piękny park.

W parę dni potem mniejsze grono odbyło wycieczkę do Druskiennik, wreszcie do leżących w pobliżu Wilna uroczych Werk, dawnej siedziby Radziwiłłów, potem Wittgenstejnów i Hohenlohe'ów, a obecnie stanowiących własność byłego gubernatora wileńskiego.

K.

EMMA JELEŃSKA.

Jubileusz.

(Ciąg dalszy).

. . . .

Porzucił?... Dlaczego? Jak się mogła stać rzecz tak potworna?

Matkę zastał osamotnioną. Córki były na pogrzebie, lecz odjechać musiały. Były więc wielkie lamenty nad własną niedolą i nad niewdzięcznością dzieci. Była i konieczność wejrzenia w interesy. Należało uporządkować je i zdać hrabiemu. Nawet przez wzgląd na pamięć zmarłego, niepodobna było zostawić rzeczy w takim stanie. Zresztą, i o własny fundusz chodziło.

— Czy nie było to już wówczas główną we mnie pobudką? — westchnął Roman. Bo to pamiętał, że gdy się znalazł, po tych kilku latach niedostatku, w domu matki, gdzie troski nie było o chleb, gdzie czuć było pewność siebie, jaką daje bogactwo, gdzie bankowe papiery spały po szufladach, a w kasie błyszczały rulony złota, gdzie nie było ani estetyki, ani kultury, ani poezyi, ani etyki nawet — ale gdzie były ruble — pamiętał że odczuł ulgę. I myśl, że on także ma do tych rubli prawo, nie była mu przykrą.

„Co prędzej to uporządkować, spieniężyć, zrealizować swoją część, a wtedy urządzić sobie inne, lepsze życie“, — myślał. Choć trochę użyć! Trochę dostatku, trochę przyjemności — to i Marta chętnie przyjmie.

W tej myśli, zabrał się do interesów. Lecz gdy wejrzał w nie, przeraził się. Był tam chaos nie do rozwikłania. Mnóstwo spraw rozpoczętych, jakby umyślnie zaplątanych i urwanych — jakieś niewyraźne spekulacye — jakieś procesy, fikcyjne sprzedaże i kupna — jakieś wydatki tajemnicze i dochody niewytłomaczone. Widać było że ojciec, nikomu sprawy nie zdając od lat wielu, szarpał zewsząd, gdy chodziło o dostarczenie hrabiemu pieniędzy — a nieraz i o własną korzyść. W tem się połapać na razie było niepodobna. Należało lat parę poświęcić, aby tu coś rozjaśnić.

Właśnie hrabia na to nalegał.

— Co to panu szkodzi, mój panie... — mówił swym znudzonym głosem, trochę przez nos — zapłacę panu tyleż co i ojcu płaciłem — a pewnie z wierszyków i z artykułów i połowy tego nie zarobisz pan — co? Posłużyłbyś mi pan przez parę lat — doprowbdziłbyś do ładu — a wtedy — no, wtedy rób pan sobie co chcesz. Możeby się w Warszawie co u mnie znalazło dla pana... Ja ojca pańskiego... no, może nie szanowałem — ale lubiłem bardzo. Nigdy mi głowy nie nękał interesami — a pieniądze były. Noże i z synem będzie mi równie dogodnie — co?

Więc pozostać? Tamto chwilowo opuścić — tu popracować, własne interesy wyjaśnić, za rozplątanie hrabiowskich wziąść dobrą zapłatę, a wtedy wrócić. Może... może byłoby to rozsądnie... lat parę, nie wieczność. Młodość, talent, sława nie uciekną. Może poczekać...

Lecz... co powie Marta?

Bił się z myślami. Wreszcie napisał do Marty.

Odpowiedź jej nadeszła wkrótce.

„Biedny mój Romku, pisała, żałuję ciebie z całej duszy, bo widzę żeś już swoją wolność utracił, a bardzo się lękam aby w tych zawikłaniach nie przepadł i talent twój, i szczęście, i dusza. Ale co pomoże że ci to mówię. Sam najlepiej wiesz co masz robić. Co do mnie, przyznaję, iż to nowe życie, które mi proponujesz, przejmuje mnie trwogą. Obawiam się tych obowiązków nieznanych, tych stosunków z ludźmi, którzy są i będą zawsze obcymi naszym pojęciom — obawiam się najbardziej wspólnego pożycia z twoją matką. Nie może ono być zgodne. Lękam się utracić własny spokój duszy i nieraz być zmuszoną do kompromisów z własnem sumieniem. Ale cóż robić! Kocham cię tak bardzo, mój Romku, że odważam się na to wszystko, byleby być z tobą, i znosić razem to nieszczęsne bogactwo, tak jakeśmy znosili biedę. Zgadzam się

wziąść ślub i przyjechać do Ostrowca, i mieszkać tam dopóki ty się nie uwolnisz od tych interesów. Ale rozumiesz iż zgadzając się na to, chcę być — nie mówię serdecznie — ale grzecznie przyjętą przez twoją rodzinę. Postaraj się więc matkę tak usposobić dla mnie, aby potem życie wspólne było możliwem. Niech choć parę słów zapraszających do mnie napisze. Ach, jakże to wszystko smutne! Jakże szybko przeminęło nasze szczęście!"

I on to samo powtarzał sobie w duszy. Jakże szybko przeminęło szczęście! Lecz cieszył się nadzieją że to wszystko przecie nie na wieki. I zaczął przygotowywać matkę do przybycia Marty. Ale tu spotkał się z gwałtownym oporem.

— Jakto! jabym miała wziąść do domu tę... dziewkę — mieszczankę jakąś! Twoją metresę! Jak śmiesz mi coś podobnego...

— Ależ ja z nią ślub wezmę.

— To jeszcze gorzej! Nigdy! nigdy na to nie pozwolę! Ty, mój syn, miałbyś się z taką żenić! Przybłęda jakaś! I ja miałabym ją za synowę uważać!...

— Ależ, matko, — od dwóch lat z sobą żyjemy. — Jest mi ona najdroższą...

— Wielkie rzeczy! To ją rzuć do licha...

— Syna mamy...

— Jezus, Marya! A toś ładnie się spisał! To tembardziej trzeba się odczepić. Poszlę jej jakie trzysta rubli — no, niech będzie pięćset — i będzie koniec. A to możesz być pewny, że na taki głupi marjaż się nie zgodzę. Wolę tu... tu paść trupem, niż żeby taka miała być twoją żoną. Zapamiętaj to sobie.

I nie pomogły przełożenia, prośby, nalegania. Matka ani słuchać nie chciała o Marcie pod żadną postacią.

— Bóg wie kto! Jakaś studentka, socyalistka! Za nic w świecie! Chcesz się żenić? Dobrze! Wynajdę ci porządną, bogatą pannę, której przynajmniej nie wstyd będzie pokazać. A to... obraza boska!

— Jak mama sobie życzy. Jeśli tak, rzucam wszystko i wracam do Marty.

— Dobrze. Ale pamiętaj że w takim razie grosza nie dostaniesz z ojcowskiego kapitału. Ja mam go w rękach — i nic nie dam.

— A niech to wszystko jasne pioruny zatrzasną!

Został jednak — w niepewności, w męce — czekając że się coś wyjaśni, lecz w gruncie duszy — przyznawał to teraz — coraz silniej się przywiązując do marzeń o dostatku, coraz głębsze zapuszczając korzenie w tej ciepłej, tłustej a smacznej glebie.

Aż dnia jednego przyszedł list od Marty. Był już wrzesień, i słońce igrało po żółtych i czerwonych drzewach. On stał na ganku, gdy mu list oddano, Wziął go, i nie otwierając, poszedł wgłąb ogrodu. Szedł i szedł przed siebie, a szeleściły pod jego stopami zżółkłe, martwe liście. Wpatrywał się w imię swoje, napisane na kopercie jej ręką — tą ukochaną ręką, którą tyle razy w swojej trzymał, z której zawsze spływała na niego moc i spokój. Wiedział co będzie w tym liście.

I nie zdziwił się, gdy wreszcie otworzył i czytał:

„Mój drogi Romku! Po raz ostatni tak mówię do ciebie. Ale niechcę aby rozstanie nasze było gniewne lub pełne żalu, a przytem wiem że nigdy drogim i ukochanym dla mnie być nie przestaniesz — więc jeszcze mówię: mój drogi Romku! Długo i poważnie rozmyślałam nad tem co mi zrobić trzeba, aby sumienie mieć spokojne. — I widzę teraz jasno — nie możemy żyć wspólnie. Co innego ja — biedna mieszczanka, od dzieciństwa nawykła do wszelkich braków; ja, bez tradycyi, bez stosunków, bez domu; ja, która nigdy nie zakosztowałam dostatku i która niewiem dotąd co to jest mieć zabezpieczone jutro. Mnie — jak ptaszkowi z gałązki — łatwo jest ulecić w górę i dążyć ku szczytom. Tobie — trudniej. Dla ciebie zbyt ciężkie, zbyt surowe było życie nasze. Musiała przyjść chwila — przyszła — że ty, niezahartowany, zmęczyłeś się. Widziałam to od dawna — teraz wiem że tak jest.

„Nie myśl że ci to wymawiam. Niema tu miejsca na żale lub wymówki, a zwłaszcza niema na nie miejsca w sercu mojem. Nie! w tem sercu nic innego dla ciebie nie będzie prócz miłości, wdzięczności za tych parę lat szczęścia — i wielkiego, wielkiego pragnienia dobra dla ciebie.

„Ale rozstać się musimy. Matka twoja ma racyę: ja na żonę dla ciebie nie jestem odpowiednia. Tobie teraz inną mieć wypada, Przytem — co też niemało znaczy — byłabym powodem ciągłej niezgody w rodzinie. Ty, jeśli już masz żyć z matką, powinieneś żyć z nią w spokoju. A widzę że się ona nigdy nie da przejednać. W jej pojęciu, ja zawsze pozostanę „upadłą" kobietą, a dziecko nasze „nieprawem" dzieckiem, bośmy mieli zuchwałość kochać się bez sakramentu. W jej pojęciu, od „takiej" zawsze można się „odczepić" większą lub mniejszą sumą pieniędzy. Już mi przysłała, z listem bardzo groźnym, pięćset rubli, które ja naturalnie, bez żadnego listu, nie omieszkałam jej natychmiast odesłać,

„Rozumiesz że to wszystko — niechęć twojej rodziny i twoje własne „zmęczenie" — nie rokowałyby nam nic dobrego, gdybym dała się namówić do dalszego z tobą pożycia. Rozsądniej jest rozstać się cicho i po przyjacielsku. Na szczęście nie braliśmy ślubu i możemy to zrobić bez niczyjej interwencyi, ani też krzywdy. Bo i dziecku naszemu większą szkodę przyniosłoby otoczenie złe, niż to że ojca nie będzie miało. Bądź o nie spokojny. Potrafię wypełnić obowiązki, jakie włożyła na mnie miłość nasza. Jest to mój syn. Jemu się oddam i wychowam go na dobrego człowieka. Żadnej w tem pomocy od nikogo nie potrzebuję i nie przyjmę.

Wiem że w pierwszej chwili ten list mój będzie dla ciebie przykry — może nawet bolesny. Ale potem zrozumiesz że mam racyę. Z dwóch rzeczy złych, trzeba zawsze wybierać mniej złe. Teraz mniej złem jest nasze dzisiejsze rozdarcie, niż całe długie życie niezgody, wewnętrznej rozterki i kompromisów z sumieniem. Toby było straszne.

„Na zakończenie prośba: nie odpisuj! Potrzebuję być silną i spokojną, aby znieść to wszystko i godnie wytrwać do końca. A każde odezwanie się twoje, każdy znak życia od ciebie wzrusza mnie jeszcze tak bardzo. Ponieważ żyć z sobą nie możemy, miejmy odwagę umrzeć dla siebie. Oto cię proszę.

„A teraz żegnam cię na zawsze... Jeśli to prawda że po tamtej stronie grobu jest indywidualne życie i miłość, jeżeli są światy jakieś gdzie się duchy spotykają — a wierzę w to najmocniej! — to i my kiedyś, oczyszczeni i wolni, spotkamy się jeszcze... tam... gdzieś! Ale już nie tu...

„Tu tylko myśl moja czasem do ciebie poleci — ale nigdy więcej nie ujrzą cię moję oczy, Żegnam cię. Marta".

. . . .

(Ciąg dalszy nastąpi).

O przechadzce.

Ze współczuciem patrzę zawsze na korowód letników wracający po wakacyach do miasta, bo choć znajdują się między nimi amatorzy, którzy z radością zamieniają kwieciste łąki na porznięte szynami ulice i przepojone słońcem przestrzenie na duszne zbiorowisko domów, jakiem jest miasto; to i ci nawet przyznają, że miasto ze swymi wyziewami, hałasem, wśród gorączkowej walki o byt, bardzo niefortunne przedstawia dla zdrowia warunki. Gdybyż przynajmniej chciano im przeciwdziałać pełniąc wytrwale chociaż główne przykazania hygieny, byłoby jeszcze półbiedy, ale niestety większość ludzi wcale o tem nie myśli.

Wtłoczona w tryby zawodowej pracy cała rzesza pracowników umysłowych, bądź to zajętych w biurach, lub też oddanych pracy naukowej zupełnie jest pozbawiona ruchu fizycznego. Nawet wiele rzemiosł nie wymaga wcale działalności mięśni, tak, że dla utrzymania w zdrowiu wszystkich tych ludzi, potrzeba ruchu musi być sztucznie zaspakajaną. A czyż zawsze nią bywa?

Kobiety, nie mówiąc już o pracownicach zarobkujących lecz o mężatkach zajętych tylko domem i dziećmi, o ile z temi ostatniemi nie są zmuszone chodzić na spacer, prowadzą przeważnie życie siedzące. Umieją one podczas brzydkiej pory roku spędzać tygodnie całe w dusznem mieszkaniu i częściej jeszcze ma to może miejsce w małych miastach niż w Warszawie, gdzie mniejsza ilość służby i dalsze przestrzenie zmuszają gospodynię domu do używania ruchu choćby po ulicy tylko.

A jednak ruch fizyczny zaliczamy obok jedzenia, picia i snu do niezbędnych warunków naszego zdrowia. Konieczność używania mięśni polega na tem szczególnem, u wszystkich

zwierząt mających zastosowanie prawie: że tylko narządy, których używamy zachowują swa sprawność, zanikają zaś one, jeżeli nie stawiamy im żadnych wymagań. Niejednokrotnie widzieliśmy wszyscy, jak, pomimo najlepszego odżywiania ustroju, zanikły mięśnie na nodze lub ręku, na które nałożono opatrunek gipsowy i wskutek tego przez kilka zaledwie tygodni były one bezczynne.

Dlaczego zaś system mięśniowy więcej niż inne narządy wymaga, abyśmy nie zaniedbywali jego ćwiczenia? Najprzód dlatego zapewne, ze ze wszystkich narządów naszego ciała największą przedstawia objętość — ciężar bowiem mięśni wynosi 40% wagi całego ustroju. Ważniejszą jednak jeszcze jest okoliczność, że mięśnie czyli narządy ruchów są jedynym przyrządem, którego działalność pozostaje pod bezpośrednim wpływem naszej woli. Czynność wszystkich odżywianiu służących narządów odbywa się poza świadomością, bez udziału woli. Mięśnie będące w ruchu, za pomocą przemiany materyi, jaka się wówczas w nich odbywa, wpływają pobudzająco na oddychanie, na działalność serca, wydzielanie gruczołów i trawienie.

Nie możemy więc normować wszystkich tych czynności tak ważnych dla naszego zdrowia inaczej jak za pomocą pracy mięśni. Pracujący mięsień potrzebuje dziesięć razy, przy natężonej pracy trzydzieści nawet razy tyle pożywienia, co mięsień pozostający w spoczynku.

Człowiek leżący spokojnie, czerpie z powietrza, którem oddycha, przez jedną minutę 250 cm. sz. tlenu i za jego pomocą spala w ustroju około 125 mgr. tłuszczu — przy szybkim biegu dziesięć razy tyle. Już ta jedna okoliczność wyjaśnia nam pobudzający wpływ działalności mięśni na różne narządy. Będąc w ruchu, oddychamy głębiej, serce nietylko uderza częściej ale jeszcze przy każdym skurczu komórek musi dużo większą ilość krwi wypchnąć, żeby krew doprowadziła do mięśni wskutek większego ich zapotrzebowania, większą ilość tlenu i innych odżywczych substancyi — narządy trawienia ze swej strony muszą też pracować z większem natężeniem, aby zastąpić krwi to, co mięśnie zużyły. Możemy więc pośrednio za pomocą mięśni spotęgować działalność wszystkich tych narządów a tem samem podnieść ich sprawność. Te fakty objaśniają nam, dlaczego hygieniści wciąż nawołują do pracy mięśniowej. Sam popęd naturalny skłania istoty o niespaczonych jeszcze instynktach, jakiemi są dzieci, do ciągłego ruchu, do gwałtownego używania mięśni w zabawie.

W najrozmaitszy sposób technika usiłuje zastąpić ludziom pracę mięśniową, której im nie daje ich zawód. Kiedy rozpatrujemy te wszystkie systemy gimnastyki z całą masą różnorodnych przyrządów, które mają służyć zadaniu ćwiczenia naszych mięśni — wtedy możnaby sądzić, że od naszych przodków nam przekazane proste sposoby ćwiczenia mięśni, jak przechadzka, jako rzecz przestarzała, powinna być zupełnie odrzuconą. Tymczasem zaś spacer obok ćwiczenia mięśni daje nam tyle hygienicznych korzyści, że nie od rzeczy będzie bliżej się z niemi zapoznać.

Najprzód przechadzka pozwala nam z taką dokładnością stopniować dokonywaną pracę mięśni i stosować ją do indywidualnych potrzeb danego osobnika, jak żaden z tych sztucznych przyrządów. Fizyolog niemiecki Zuntz za pomocą specyalnie przez siebie wynalezionych przyrządów liczne robił badania nad przemianą materyi u ludzi będących w ruchu. Otóż skonstatował on, że idąc zwykłym krokiem po równej drodze zużywamy na kilogram wagi naszego ciała i kilometr drogi ilość pożywienia odpowiadającą 50 do 60 miligramom tłuszczu albo też 120 do 144 mgr. krochmalu. Im szybciej idziemy, tem bardziej przemiana materyi się wzmaga. W czasie więc jednogodzinnej przechadzki bardzo różna może być przemiana materyi. Kto idąc powoli przebywa dwa kilometry przez godzinę, zużywa na tę pracę 8 gramów tłuszczu, t. j. zużywa dwa razy tyle aniżeli to ma miejsce w spokoju. Kto przez ten sam przeciąg czasu przejdzie sześć kilometrów, to zużywa już 3 i pół raza tyle. Przemiana materyi wzmaga się niezmiernie, kiedy chodzimy choćby po niewielkich górach — spotrzebowujemy w górach na 2 kilometry 29 gramów tłuszczu — więcej jak na przejście 6 kilometrów na płaszczyźnie. To nam objaśnia, dlaczego nie możemy szybko chodzić po górach — dlaczego nowicyusz, który biegnie pod górę prędko, bywa prześcignięty przez obytego turystę, który zwalniał kroku w miarę jak góra była coraz bardziej stroma.

D-r Kam.

(Dokończenie nastąpi).

Chwila bieżąca.

— „Gołos Moskwy“ — donosi, ze na ostatniem posiedzeniu rady ministrów poruszono znów sprawę stosunku gabinetu do polityki ministeryum oświaty, uznając, iż wobec rozporządzeń ministra Schwartza gabinet musiałby zmienić kurs polityki, lub zmuszony będzie ustąpić minister Schwartz.

— Wyższym dygnitarzom kolejowym ministeryum komunikacyi zamierza w najbliższym czasie pozmniejszać pensye redukując do rozmiarów 8000 rb. conajwyżej.

— Komisya kolonizacyjna w Poznańskim zakupiła na zasadzie przymusowego wywłaszczenia młyn i 40 morgów gruntu w Kiszkowie od p. Rotnickiego. Na początek więc, zastosowano ustawę do mniejszej własności ziemskiej. Nieszczęście, które nam wydawało się niemożliwe do spełnienia, stało się faktem, cios nawet przyszedł wcześniej, niż go się spodziewano.

— Pomiędzy Niemcami i Czechami zaostrza się sytuacya polityczna. Czeska partya socyalistyczna w szeregu zgromadzeń protestuje przeciw obstrukcyi niemieckiej udaremniającej reformę wyborczą.

— Odpowiedzialnego redaktora „Kuryera Slązkiego“ p. J. Guzego skazał sąd ławniczy w Katowicach na 100 marek kary, lub 10 dni aresztu, za to, iż wymienił nazwiska osób, które głosowały na rządowców podczas wyborów do sejmu. To się nazywa „wolnością prasy“.

— Na stacyi Bozdany za Wilnem dopuszczono się zuchwałego napadu na pociąg, gdzie przy pomocy bomb i brauningów zrabowano znaczną sumę pieniędzy, dotąd nie skonstatowaną. Początkowo pisma donosiły o kradzieży miljonowej, według „Now. Wrem.“ zdobyczą napastników stało się tylko 15,000 rubli, tymczasem „Kurjer Litewski“ donosi, iż zrabowano ogółem 600 tysięcy rubli. Dotąd niema wiadomości o ujęciu sprawców napadu na pociąg pod Bozdanami.

— Rozpoczęto nowe śledztwo w sprawie morderstwa namiestnika Galicyi ś. p. Andrzeja Potockiego. Stan umysłowy Siczyńskiego podlega obserwacyi lekarskiej — przesłuchiwano jego matkę Oleszę. Cesarz Franciszek Józef nie jest skłonnym do uwolnienia M. Siczyńskiego.

— Dnia 29 września w Żółkwi, odbyła się wielka uroczystość narodowa przeniesienia popiołów wielkiego hetmana polskiego Żółkiewskiego. Wszystko odbywało się pod gołem niebem, gromadząc pomimo pochmurnego dnia, tysiące uczestników. Arcybiskup Bilczewski odprawiał mszę polową, obok wzniesionego na środku rynku katafalku z trumną zawierającą zwłoki hetmana. Szereg mów wygłosili: marszałek krajowy, prezes Koła polskiego, prezes związku sokolego, burmistrz Żółkwi. W imponującym pochodzie zaniesiono trumnę do nowego sarkofagu w kościele. Sokołów przybyło 1500, kilkadziesiąt posłów, cała rada miasta Lwowa, setki włościan. Przybyła Konopnicka. Sienkiewicz nie przyjechał, jego „Słowo“ odczytano na rynku.

— Turcyę w jej zatargach z Bułgaryą popiera bardzo silnie rząd angielski i prasa angielska bardzo silnie powstaje przeciw Bułgaryi, za którą stoją Austro-Węgry, broni natamiast interesów Turcyi.

— W Warszawie przy ulicy Foksal wykryto tajną drukarnię, która pod firmą Tomaszewskiego — skład papieru liniowanego „Soczewka“ — drukowano „Robotnika“ i inne pisma treści socyalno-rewolucyjnej. W piwnicy tego domu znaleziono ludzi zajętych drukowaniem Osiemnaście osób aresztowano. Rewizya trwała dni kilka.

— W Łodzi w gmachach zakładów fabrycznych K. Scheiblera wywieszono następujące ogłoszenie: „Wobec zamierzonej zmiany norm płacy zarobkowej wymawiamy wszystkim robotnikom naszych fabryk i zakładów pracę od d. 17 października r. b. który to dzień będzie ostatnim dniem pracy. Zarząd Tow. akc. K. Scheibler“. Ponieważ zakłady K. Scheiblera należą do Związku fabrykantów spodziewane są podobne rozporządzenia i innych fabryk. Zmniejszono również dnie pracy i ilość płacy w innych fabrykach, jako to: w Dąbrowce Z. Jarocińskiego, w oddziale mechanicznym fabryki Poznańskiego, w fabrykach Szulca i Klindego jak również w Zgierzkich tkalniach.

— Zmarł nagle wiceprezes warszawskiego sądu okręgowego ś. p. Aleksander Resstorff w wieku lat 70.

— Władysław Wenda zakończył życie d. 1 b. m. w wieku lat 88. Napisał „Krótkie Dzieje Polski“. Był miłośnikiem zabytków starożytnych.

Sposób konserwowania grzybów na zimę.

Wziąść na garniec wody funt soli, zagotować—uszatkowane grzyby wypłukać i rzucić na ukrop, żeby się parę razy zagotowały — potem wyjąć łyżką druszlakową z wody. Wodę jeszcze gotującą wysumowawszy doskonale z wszelkich nieczystości i jak grzyby i woda ostygną wlać w słój i zalać na wierzch baranim łojem żeby powietrze nie dochodziło.

Treść numeru:

Do czytelniczek, przez Zofię Seidlerową. — Płomyk, powieść, przez Eugenję Żmijewską. — Przez mą lornetkę, przez Maryana M. Winiarskiego. — Pamięci Deotymy, wiersz, przez Jadwigę Ehzenbergową (Agi-Wdaj). — Deotyma, przez Stefanię Podhorską-Okołów. — O „księdze“ Żeromskiego (Duma o Hetmanie), przez Gustawa Olechowskiego — Wystawa «Dziecko» w Wilnie, przez K.— Jubileusz, przez Emmę Jeleńską. — O przechadzce. — Chwila bieżąca. — Ogłoszenia.

DODATEK: Opis ubiorów i robót z rycinami

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 10-ty tomu II powieści p. t. „Pamiętnik idealistki“, przez Malwidę von Meysenbug, w przekładzie R. C.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: Piotr Laskauer. **Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa, Nowy-Świat 41.**